TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE: Anonimowi poeci Polski Podziemnej; Z. Bohdanowiczowa, R. Fajans, J. P. Junosza, T. Mitana, W. Świętosławski, M. Wańkowicz, K. Wierzyński

Vol. 2, Nr. 4 (56) Nowy Jork, 23 stycznia — New York, 21 N. Y., January 23, 1944 Cena 15 ct.

NACISK

Ostatnie oświadczenie rządu polskiego przygotowane i ogłoszone w zaiste dramatycznych warunkach, których szczegóły i pełny obraz dopiero kiedyś poznamy, pozbawione jest wskutek tego jasności, będącej, naszem zdaniem, nakazem chwili i przyczynić się mogącej do rozładowania atmosfery; ta jasność, stanowczość, niedwuznaczność, zwłaszcza wobec coraz bardziej zarysowującej się zmiany nastrojów w Stanach mogła stać się punktem zwrotnym w sprawach, od których nietylko nasz los ale los całego świata zależy.

W tej chwili właśnie dowiadujemy się o skutkach polskiej propozycji i niedługo ocenić będziemy mogli wszystkie jej aspekty i jej wagę. Rosja odrzuciła propozycję rządu polskiego, by przy współudziale Stanów Zjednoczonych i Anglji omówić sprawy polsko-rosyjskie, Stany zaś wyraziły gotowość wzięcia udziału w takiej konferencji. Oto sytuacja w dniu dzisiejszym, zobaczymy co przyniesie jutro.

Już teraz jednak na podstawie tego co wiemy o roli Wielkiej Brytanji w przygotowaniu oświadczenia polskiego, o praktykach cenzury brytyjskiej, o nieustannej ingerencji pana Antoniego Edena w obrady i decyzje polskie, możemy i musimy wypowiedzieć się z całą stanowczością w sprawie, od której należytego zrozumienia zależy cała przyszłość naszej sprawy i właściwie istota naszej niepodległości.

Rozumiemy doskonale, że rząd polski w decyzjach swoich i oświadczeniach brać musi pod uwagę nietylko interesy narodu i państwa polskiego, ale musi też oceniać je z punktu widzenia ogólnej sprawy Sprzymierzonych, że musi być świadomy związków spraw polskich z interesami naszych Aljantów, że musi iść na rozsądne kompromisy nietylko z tymi interesami, ale nawet z chwilowemi trudnościami naszych Sprzymierzeńców; to wszystko rozumie się samo przez się, zawarte jest w samem pojęciu solidarności sprzymierzeńczej i rozsądku politycznego; to wszystko wymaga też ustawicznego kontaktu i porozumienia naszego rządu z rządami sprzymierzonymi, wspólnych obrad i pozwala na korzystanie z przyjacielskich uwag i sugestji. Natomiast nie jest zrozumiałe, nie jest dopuszczalne, nie jest możliwe, ażeby Aljanci nasi wywierali w sprawach polskich nacisk na rząd polski, aby krępowali w tych sprawach jego decyzje jakimiś wpływami, cenzurą, utrudnieniem kontaktu z opinją polską; nie jest możliwe aby gabinet polski, rząd narodu, który leje strumienie krwi za wolność nietylko swoją ale też za wolność Anglji i Stanów Zjednoczonych, obradował w Londynie niczem sejmy polskie w. XVIII pod bagnetami moskiewskimi — pod naciskiem moralnym, czerpiącym także z Moskwy swe natchnienie.

Wbrew temu co nam nieraz mówią — rząd polski i Polacy, którzy znaleźli gościnę na ziemiach sprzymierzonych, nie są jedynie gośćmi swoich aljantów, nie są bynajmniej tylko gośćmi, mającymi się o wszystko pytać gospodarzy i słuchać tego co oni im każą.

Są oni gośćmi i obowiązani są przestrzegać obowiązków gościa tam wszędzie gdzie chodzi o sprawy i interesy kraju, który im dał przytułek, nie są natomiast gośćmi, kiedy zabierają głos i decydują o sprawach polskich; wtedy są u siebie w Londynie czy w New Yorku i gdyby tak nie było cały piękny slogan Narodów Zjednoczonych byłby tylko propagandową farsą.

Wszystko co rządy aljanckie dają Polsce — od uzbrojenia do Lend-Lease'u nie jest żadną łaską, jest conajwięcej skromną bardzo zapłatą za wkład krwi polskiej w ogólną sprawę sprzymierzonych, za walkę, jakiej żaden inny naród nie toczy z Niemcami, za walkę, w której poświęca on wszystko: życie wszystkich obywateli i całe swoje mienie; Polska nie jest więc w żadnym wypadku jakimś niewypłacalnym dłużnikiem swoich sprzymierzeńców.

Rząd polski, którego trudności rozumiemy doskonale, ale który nie ma prawa przed niemi ustępować, musi przejąć się temi prawdami i musi wszystkie swoje decyzje tak brzemienne w skutki, uniezależnić od wszelkiego nacisku, musi przeciw temu naciskowi protestować, musi obradować z poczuciem solidarności sprzymierzeńczej ale zarazem tak jakby był u siebie.

ROMAN FAJANS

PRZED WYMARSZEM NA FRONT

WIELKIE DNI ARMJI POLSKIEJ NA WSCHODZIE

(Korespondencja własna „Tygodnika Polskiego")

I.

Kair-Palestyna, w listopadzie.

Armja polska na Wschodzie przeżywa swe wielkie dni. Najdonioślejsze bodaj od ostatniego pobytu ś. p. generała Sikorskiego. Naczelny Wódz przebywa znowu wśród żołnierzy tej armji. Generał Sosnkowski odwiedza ją po raz pierwszy, ale witany jest jak zwierzchnik od dawna znajomy. Jego osoba, twarz, sposób bycia, są dobrze znane żołnierzom polskim ze wschodu. Obecny Wódz Naczelny nie jest dla nich postacią nową. Zbyt silnie nazwisko jego związane jest z armją polską od lat trzydziestu, zbyt wiele żołnierz wie o nim. To też kontakt nawiązuje się łatwo i szybko. Ot, jakby starzy, dobrzy znajomi spotkali się znowu, po długiej rozłące. Jest o czem porozmawiać i co wspominać... To też pobyt generała Sosnkowskiego wśród Armji Polskiej na Wschodzie ma w sobie coś rodzinnego i dziwnie serdecznego. Naczelny Wódz i armja przypadli sobie odrazu głęboko do serca.

Obecna wizyta Naczelnego Wodza ma pozatem specjalne znaczenie, jakiego nie posiadały żadne dotychczasowe odwiedziny tego rodzaju. Generał Sosnkowski przybył, aby wyprawić armję na front. Oświadczył to oficerom i żołnierzom zupełnie wyraźnie w swym rozkazie dziennym. Powiedział im przecież: "Niebawem szeregi wasze staną w ogniu walki". I dodał jeszcze: "Przybyłem do was, aby osobiście odprawić wasze szeregi na tę drogę żołnierską..." I sprecyzował nawet wcale dokładnie kierunek marszu, mówiąc: "Pomaszerujecie szlakiem znanym dobrze z dziejów ojczystych". Nie ulega więc wątpliwości, że moment wyruszenia do walki jest bliski.

*

Od dawna już Dywizja Kresowa gotowała się do tegorocznego Święta Niepodległości. Pamiętny miał to być dzień w życiu dywizji, albowiem w dniu tym otrzymać miała sztandar, dar polskiego wychodźtwa w Palestynie. Wiedział również każdy żołnierz dywizji, że przy uroczystości obecny ma być Wódz Naczelny.

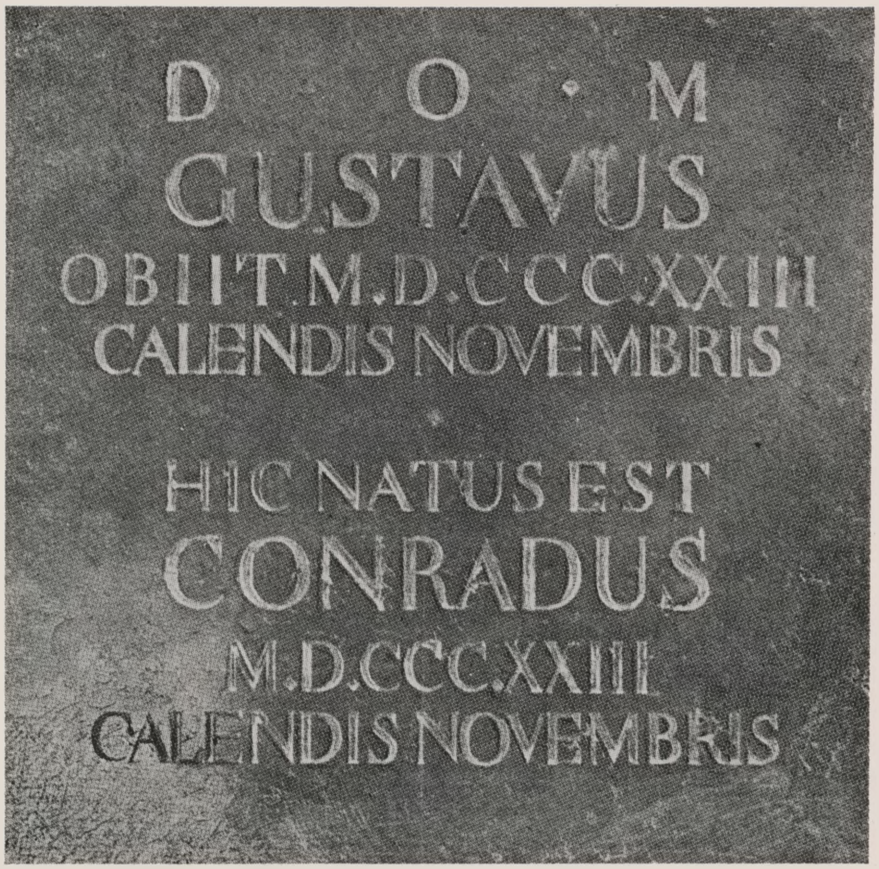
W swym pięknym wierszu o Wacławie Rzewuskim Juliusz Słowacki, opisując wędrówki polskiego bohatera po pustyniach i oazach Bliskiego Wschodu, opowiadał nam, że "koń jego arabski był biały, bez skazy. Po trzykroć on na nim przemierzył step Gazy..." Czy przypuszczał poeta, że w przeszło sto lat później, w ślad za Rzewuskim, tysiączne zastępy polskich wojowników będą przemierzały ten sam step Gazy? Czy dostrzegał w swej wizji korowody potężnych polskich maszyn wojennych, które zastąpiły białego, arabskiego konia emirowego?...

Uporczywie powracały mi na myśl piękne strofy Słowackiego, gdy spoglądałem na olbrzymi czworobok dywizji Kresowej, ustawiony tam właśnie, kędy przebiegał emir Rzewuski. W długich idealnie równych szeregach ustawili się żołnierze z Tocka i Tatiszczewa. W słońcu błyszczą bagnety, na głowach — hełmy stalowe. Opodal, przy ołtarzu polowym, ubranym w polskie, brytyjskie i amerykańskie barwy, działa przeciwlotnicze wyciągają ku niebu swe smukłe, długie szyje. Ołtarz ustawiony jest między czołgami i działami polowymi. Na błoniu pojawiły się liczne delegacje wychodźcze, przybyłe specjalnie z Jerozolimy, Tel Avivu i innych ośrodków polskich w Palestynie. Są też przedstawiciele władz cywilnych, jest około trzydziestu zagranicznych dziennikarzy. Stawiła się, oczywiście, cała generalicja i mnóstwo wyższych oficerów sztabowych.

Już wczesnym rankiem wiadomo, że Wódz Naczelny, niestety, nie przybędzie. Nieprzewidziane okoliczności opóźniły jego przyjazd o parę dni. Program uroczystości nie ulegnie jednak przez to żadnej zmianie. Rozpocznie się ona za chwilę. Oto przed ołtarzem grupują się członkowie komitetu uchodźczego, który ufundował sztandar. Dołącza się do nich generalicja, dostojnicy cywilni, delegacje. Widać też i sam sztandar. Na białem tle czerwony krzyż "Virtuti", Orzeł i nazwy: Tockoje, Tatiszczewo, Lwów i Wilno. Oto jest generał Anders. Samochodem objeżdża skamieniałe, zastygłe w bezruchu szeregi. Patrzy żołnierzom w oczy. Orkiestry grają hymn. Dowódca A. P. W. powraca przed ołtarz, gdzie zaczyna się nabożeństwo. Poświęcenia sztandaru nie będzie, gdyż odbyło się ono już w przeddzień, u Grobu Zbawiciela, w Jerozolimie. Po nabożeństwie i krótkim kazaniu prezes Komitetu uchodźców, p. Godlewski, bierze sztandar do ręki i ofiarowując go generałowi Andersowi, wygłasza gorące przemówienie, w którem daje wyraz miłości uchodźtwa dla armji i jego niezachwianej wierze w naszego żołnierza. Dowódca APW. odbiera sztandar z rąk p. Godlewskiego i odpowiada mu kilku zwięzłemi, żołnierskiemi zdaniami. Jak na ekranie, przewijają się w słowach generała Andersa, wszystkie cierpienia i trudności, jakie były udziałem żołnierzy "Kresowej", zanim osiągnęła ona swą obecną postać. Generał mówi o tych tysiącach ludzi w łachmanach, chorych, padających z osłabienia, głodnych Polakach, którzy wiedzeni niezachwianą wiarą i miłością Ojczyzny, szli przez tundry i lasy bezkresnej Rosji, aby dotrzeć tylko do owej ziemi obiecanej, jaką stanowiły dla nich obozy formującej się armii polskiej. Któż poznałby dziś tych nędzarzy w świetnych, bitnych, znakomicie prezentujących się żołnierzach "Kresowej"?

Z ustawionej przy asfaltowej szosie, udekorowanej barwami alianckimi trybuny odbiera następnie Dowódca APW. defiladę dywizji. Idealnie równym, sprężystym krokiem, karnie i pięknie maszerują oddziały. Defilada trwa ponad godzinę. Prócz "Kresowej", defilują delegacje innych wielkich jednostek armji, z oddziałem Dywizji Strzelców Karpackich na czele. Przed oddziałem tym — sztandar dywizji, okryty chwałą bitew pod Tobrukiem, Gazalą i na pustyni Libijskiej. Idą kadeci, junacy, ochotniczki P. W. S. K. Wojsko witane jest salwami oklasków i burzą wiwatów. Polska ludność Palestyny raduje się swą armią.

Tego samego dnia, na terenie m. p., nastąpiło otwarcie wystawy, mającej zobrazować dzieje jednej z b. dywizji APW., obecnie już rozwiązanej i wchodzącej w skład innych formacji. Serje doskonałych, wymownych fotografji ilustrują historję dywizji w Rosji, Iranie i Iraku. Wstrząsające swym realizmem zdjęcia przypominają, jak wyglądał żołnierz polski w chwili przybycia do obozu w Tocku i jak żył potem. Czego nie potrafią powiedzieć fotografie, to uzupełnia szereg tablic i wykresów. Wzruszające są liczne pamiątki z niewoli: obrazy Matki Boskiej i krzyżyki, rzeźbione w drzewie, kości i metalu, rysunki, wiersze. Wielka tablica podaje etapy dotychczasowej drogi żołnierza oraz ilości przebytych kilometrów: koleją — 2,560, morzem — 360, samochodami — 2,916. A to przecież dopiero droga do Khanakinu, w Iraku. Trzeba dodać do niej już teraz przestrzeń Irak-Palestyna, a niebawem dojdą niezawodnie nowe etapy. Żołnierz polski czasu drugiej wojny światowej pobije niewątpliwie wszystkie rekordy wędrowne. (c. d. n.)



Tablica pamiątkowa wmurowana w celi więzienia pobazyljańskiego w Wilnie, w której więziony był Mickiewicz i w której rozgrywa się scena więzienna III-ej części „Dziadów".

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

DO KONRADA

Konradzie, więźniu, nocą zamyślony,
Którego próżno-śmy wzywać nie śmieli,
Otwórz Polakom drzwi od swojej celi,
Gdzieś w samotności cierpiał za miljony.

Stało się bowiem, że cztery jej ściany,
Próby śmiertelne i mękę więzienną
Wybrał twój naród na noc swą bezsenną
Po krwawym boju, przez świat zapoznany.

Za murem głusza uparta gęstnieje
A nieba oknem wiatr puste obłoki
W zmiennych podmuchach rozpędza wysoki,
Niby stracone raz jeszcze nadzieje.

I stać się może — Konradzie, pamiętasz? —
Jak za twych czasów, że niebo to wiekiem
Nad każdym zamknie się u nas człowiekiem
A ziemią dawny rozpleni się cmentarz.

Jeśli te losy ojczyźnie pisane
Za to, że krzykiem swym świat obudziła,
Otwórz swą celę: wieczysta w niej siła
Przeniesie znowu twe słowa na ścianę.

Świat z tych biblijnych niech dowie się znaków,
Że nie o pokój w te dni niespokojne
Modlić się będziesz, lecz o nową wojnę —
I że nic nigdy nie złamie Polaków.

TADEUSZ MITANA

ARCYDZIEŁO GNIEWU

(Z POWODU KSIĄŻKI LIN YUTANGA "BETWEEN TEARS AND LAUGHTER")

Nic czasem tak nie przejmuje swą wymową, jak przemyślane milczenie. Mam w tej chwili na myśli głuchą ciszę, w jaką zapadła najnowsza książka Lin Yutanga, "Between Tears and Laughter". Dopóki Lin Yutang, wytworny myśliciel chiński, mistrz prozy angielskiej a zarazem świetny znawca kultury Wschodu i współczesnej cywilizacji zachodniej, rzucał na ekran myślowy Ameryki swe uśmiechnięte refleksje filozoficzne, dopóki w ramach fikcyjnych sytuacji i charakterów malował egzotyczną treść Chin i ich swoisty świat obyczaju, dopóty prasa i krytyka w tym kraju darzyły go entuzjastycznem uznaniem. Lin Yutang był na ustach wszystkich, modny, rozchwytywany, wprost uwielbiany. Był w tym żywiole hołdu jakby wyraz jakiejś ulgi i zarazem zryw wdzięczności dla znakomitego pisarza za jego wielki takt milczenia w sprawie okrutnego w swym ekonomicznym realizmie stosunku dyplomatycznych i przemysłowych sfer Ameryki do bohatersko i samotnie walczących Chin. Dla większości społeczeństwa amerykańskiego stosunek ten był niewątpliwie przykry, przejmował niepokojem i pewnem zawstydzeniem, dręczył wyrzutem sumienia. To też fakt, że Lin Yutang nie poruszał tragicznej rzeczywistości współczesnej, że ukochany przez siebie świat ojczystej kultury przetwarzał artystycznie na dzieła sztuki, że o tem, co go bolało i nad czem w skrytości ducha gorzko płakał, nie pisał i nie mówił, ten fakt działał kojąco i jakby niewidzialnie zdejmował spory ciężar z serca. Z tem większą niecierpliwością oczekiwano od niego dalszych monumentalnych studjów o "Mądrości Chin i Indji", kontynuacji pogodnych "Momentów pekińskich", dalszego poszumu "Liści w burzy", dalszych wyrazów "Miłości i ironji".

Gdy jednak w miejsce wytwornie cyzelowanych utworów sztuki, tak ogólnie oczekiwanych, wybuchło niespodziewanie arcydzieło gniewu, potężny i do głębi wstrząsający akt oskarżenia pod adresem całej współczesnej cywilizacji zachodu, istotny "wulkan dymiący przez słowa", palący żarem patrjotycznego i humanistycznego uczucia, podbijający siłą logicznej analizy i wzruszający religijnym głosem sprawiedliwości, — zdumienie i zakłopotanie intelektualnego świata Ameryki okazało sie widocznie tak wielkie, że milczenie uznano za najwłaściwszą formę reakcji. Szkoda, wielka szkoda. Bo chociaż ze stanowiska kryterjów czysto filozoficznych książka Lin Yutanga nie wnosi może zaskakującej oryginalności myślenia — współczesna literatura amerykańska w dziedzinie filozofji politycznej posiada przecież rzeczy naprawdę wspaniałe głębią i wizją — to jednak żywioł refleksyjny i dyskursywny wpleciony został przez autora chińskiego w nurt etycznej i humanitarnej pasji tak namiętnej, tak żarliwej i ludzkiej, tak zarazem odważnej i tak ujmująco wolnej od chorobliwych inhibicji naukowego "realistycznego objektywizmu", że właśnie z tego powodu traktat Lin Yutanga stanowi bodaj zjawisko najzupełniej wyjątkowe w całej współczesnej literaturze Ameryki.

Centralnem źródłem pasji etycznej tej niepospolitej książki jest oczywiście równie centralna i wszechogarniająca sprawa wolności, sprawiedliwości i pokoju. Nie może być w świecie sprawiedliwości bez wolności, nie może być wolności bez sprawiedliwości. Wolność jest podstawowym postulatem i ideałem dzisiejszej epoki, najgłębszą jej treścią metafizyczną, religijną i moralną. Żarliwy humanizm Lin Yutanga wychodzi jednak poza granice Chin, domagając się pełnej wolności nietylko dla swej ojczyzny ale i dla Indji, dla wszystkich ludów Azji, co więcej dla wszystkich absolutnie wszystkich narodów świata, wielkich czy małych. Pod tym względem Lin Yutang jest bezkompromisowy, nieugięty jak stal, niezłomny. "Sprawy, o którą dziś walczy udręczona ludzkość, nie poświęciłbym ani dla najlepszego przyjaciela, ani dla własnej matki, ani nawet dla samego Boga. Tam gdzie chodzi o wolność człowieka, nie ustąpię ze swego stanowiska ani na cal, bo takie jest moje najgłębsze przeświadczenie i taka moja wiara."

Z międzynarodowej struktury dzisiejszego świata, pękającej pod uderzeniami moralnych sił historji, wyłania się wprawdzie nowy, wolny kontynent Azji, — fakt, który Lin Yutang uważa za niezmiernie dla świata doniosły, — ale rodzące się dzisiaj i stale rosnące nowe siły twórcze nie ograniczą się do kontynentu azjatyckiego i nie wyczerpią w swym dziejowym dynamizmie, dopóki nie ogarną całego współczesnego globu i nie zakwitną ogólną dla swiata wolnością.

Że sprawa wolności Azji jest dla naszego autora chińskiego szczególnie uczuciowo bliska, dziwić się temu nikt chyba nie będzie. Jest jednak rzeczą znamienną, że sprawę tę ujmuje nietylle ze stanowiska "interesów" Chin, ile z punktu widzenia centralnego problemu wolności, której palącym symbolem są dla niego nie Chiny lecz Indje. Twarda i gryząca gorycz mowy, ból i miłości pełne współczucie nigdzie chyba nie osiągnęły takiej prostoty wyrazu jak w słowach, które Lin Yutang poświęca Indjom. Ale to dlatego, że sprawa hinduska, jak sam zaznacza, jest czemś bezporównania większem, niż sprawa Indji. Uważa ją za najwyższy ludzki symbol tych wartości i ideałów, o których realizację toczy się dzisiejsza wojna. Nic tak zdaje się nie boleć Lin Yutanga, jak fakt, że w tej wojnie, toczącej się rzekomo o wolność człowieka i narodów, bojownicy wolności Indji idą do więzień za zbrodnię walki o wolność. Zrodził się z tej dotkliwie odczutej antynomji gwałtowny i namiętny atak autora na torysowską politykę indyjską Churchilla, który w świadomości Lin Yutanga rysuje się jako nowoczesny Perikles i Metternich. Kiedy oskarżono go o anglofobię, Lin Yutang oświadczył: "O sprawie wolności Indji myślę akurat tak samo jak myślę o wolności Norwegji, Grecji, czy Polski. I z równą siłą protestowałbym przeciw niszczeniu wolności w Grecji czy Polsce, niezależnie od tego, czy odpowiedzialność za tę zbrodnię spada na Niemcy czy Rosję".

Czego autor nasz nie może darować, z czem się nie jest w stanie pogodzić, to moralne zakłamanie filozofji imperjalizmu, uznające słowa Tomasza Paine'a za Biblję demokracji, podczas gdy te same słowa w ustach Gandhiego lub Nehru uważa się za herezję i zbrodnię w stosunku do podjętego wysiłku wojennego.

W tej właśnie tragicznej antynomji Lin Yutang widzi jeden z objawów filozoficznego i etycznego chaosu, w jakim znalazła się współczesna kultura Zachodu. W sferze postępowania politycznego stanęły przeciw sobie dwie wielkie tradycje: kryterja i ideały europejskiej polityki siły a ze strony Azji, reprezentowanej przedewszystkiem przez Chiny i Indje, starożytna tradycja moralna. Uznanie siły za jedynie skuteczny instrument rozwiązywania konfliktów międzynarodowych uniemożliwiło Zachodowi rozwój filozofji pokoju, filozofji opartej na religijnym wprost autorytecie zasad etyki i humanizmu. Za zupełnie wyjątkową indywidual-

ność w dziedzinie filizoficznej Zachodu Lin Yutang uważa Lincolna, podobnie zresztą jak Ameryce przypisuje wyjątkową rolę w przyszłej ewolucji politycznej świata powojennego.

Fakt, że kultura zachodnia nie była w stanie wytworzyć odpowiedniej filozofji i techniki pokoju, myśliciel chiński wyjaśnia istnieniem chorobotwórczych i trujących narośli psychicznych i intelektualnych, zwłaszcza w postaci naturalizmu i ekonomicznego determinizmu. Zachód przyzwyczaił się ujmować zagadnienia społeczne i polityczne z punktu widzenia legalistycznego i matematycznego.

Podstawowe podejście do spraw życia ludzkiego, jego natury, funkcji i celów, jest nawskroś ekonomiczne i materjalistyczne. Nic dziwnego, że ten sam materjalizm zawładnął już dziedziną powojennego planowania i włączył w nie atawistyczne kryterja myślenia imperjalistycznego, kultu siły, międzynarodowej policji, równowagi sił policyjnych, oddawania małych narodów pod "opiekę" wielkich mocarstw, oraz budowania przyszłego pokoju na zasadach nie bezwzględnej sprawiedliwości, współpracy i dobrowolnych ofiar, lecz reform ekonomicznych w dziedzinie surowców, taryf, eksportu, przepływu dóbr i finansów.

Za punkt wyjścia uważa się nie ludzkie prawa człowieka, lecz jego prawa ekonomiczne. "Cóż jednak pomoże światu, gdyby nawet wygrał wojnę, ale duszę swoją stracił?" — pyta Lin Yutang. Dlatego elementarnym warunkiem trwałego pokoju jest według niego konieczność zrewolucjonizowania metod myślenia i postaw uczuciowych współczesnego człowieka. Pokój na ziemi zakwitnąć może tylko z widzącej wiary, bo bez wiary niema zbawienia. Jedynie trwałą równowagą świata jest równowaga równości. Potrzebna jest nam przedewszystkiem teorja rytmu życia, jedności i współzależności wszystkiego co istnieje. Bez tej wiary nie obali się doktryny siły, nie zasypie przepaści między ideałem a postępowaniem. Problem pokoju jest w istocie swojej problemem psychologicznym i etycznym a nie kwestją techniki i ekonomji.

Ziarna niezgody już zostały posiane. Jeżeli nas nie załamie wojna, załamać nas może pokój nie oparty o najwyższe zasady moralne. Pozatem warunkiem trwałego pokoju musi być ideał bezpieczeństwa zbiorowego, to zaś zbiorowe bezpieczeństwo jest niemożliwe bez czynnego uczestnictwa Stanów Zjednoczonych w wielkiem dziele tworzenia nowego porządku świata. Karta Atlantycka jest zjawiskiem iście rewolucyjnem ale założenia jej muszą być zastosowane w pełni, wobec absolutnie wszystkich narodów i wszędzie. Kto odważa się nazywać ją "niebezpieczną bajką", ten bierze na swe ramiona najstraszniejszą odpowiedzialność za losy świata i niezliczonych przyszłych pokoleń ludzkości. Kto przyszłość ludzką opiera na sile, ten wywołuje nienawiść, a za nienawiścią zemstą, walkę, pożogę i krew. Jedyną potęgą dobra, przez historję i Boga powołaną do budowy nowej Jeruzalem, to Ameryka. — "Chciałbym widzieć Amerykę biorącą na siebie rolę moralnego wodzostwa na świecie, wodzostwa pokory, tak by świat cały chętnie oddawał jej cześć i ramiona jej nieustannie podpierał. Jak olbrzymia, życie budząca i podtrzymująca rzeka w dolinie, wezbraną bujnością i bogactwem swego tworzywa, Ameryka będzie błogosławieństwem ludów tej ziemi... Jej miejsce będzie u góry ale świat nie odczuje jej ciężaru. Będzie kroczyć w pierwszym szeregu, ale nikt jej za to nie będzie złorzeczył. Bo wieść będzie ludy świata swą życzliwością, brakiem samolubstwa i sprawiedliwością oraz tą tajemnicą dla dobrych celów użytej siły, która sprowadzi na ziemię nową erę ludzkiego braterstwa. Dla jej mocy dobroczynienia, nikt z tronu jej nie strąci i nikt jej niczego nie odbierze, bo ona posiadłości nie pragnie. Sporów żadnych wieść ni budzić nie będzie i nic jej odjętem nie zostanie, bo czczej glorji dla siebie żądać nie zechce".

Chciałbym zapewnić czcigodnego autora, gdyby to było możliwem, że w zryw modlitwy, którą przesycona jest jego prześliczna książka, wpłynęło również marzenie Polski i jej wielkiej, pokój wielbiącej tradycji.

ZOFJA BOHDANOWICZOWA

ROZMOWA

Noc tak jasna, że wzrok mój wyławia
Szlaki światów krążących w przestworzu,
I tak cicha, że mogę rozmawiać
Z Tobą, któryś mnie stworzył.

Tyś wichrami głębie nieba rozciął,
Gwiazdyś rzucił na przestrzenie wolne,
I ma dola przed Twą wielkością
Jest jak źdźbło trawy polnej.

Ale gdybyś kiedyś chciał przemieniać
Moje liche i ziemskie sprawy,
To nie dawaj mi bogactw brzemienia
Ani udręki sławy.

Ptak przyziemny ze mnie: nie śmiem orłem
Bujać w locie podniebnym i skorym;
Lubię krążyć jak jaskółki wieczorne
Niziutko nad ugorem.

Daj mi chatkę jak gniazdo jaskółcze,
Przylepioną do wileńskich sosen,
I jezioro, gdzie zielony półcień
Igra pod skrzydłem wioseł.

Daj mi wschodów i zachodów szkarłaty,
Abym na nie patrzała z ukrycia,
I osłoń mnie, schowaj przed światem
Na resztę mego życia.

A nie zostaw mnie zlęknionej i samej,
Gdyby śmierci wiew nade mną powiał
Przyślij po mnie Matkę Boską z Ostrej Bramy —
Niech stanie u wezgłowia.

Niech mnie wzniesie nad jezioro przejrzyste,
Ponad gwiazdy i wędrowne zorze
I niech mnie na Twej dłoni świetlistej
Martwą jaskółką położy.

WOJCIECH ŚWIĘTOSŁAWSKI *(Z cyklu "Odbudowa Polski")*

ROZWÓJ PRZEMYSŁOWY POLSKI

III.

Już w pięć lat po odrodzeniu Polski w życiu przemysłowym nastąpiły poważne zmiany na lepsze, zwłaszcza w rozwoju techniki i instytutów badawczych, które tworzyć miały podstawy do uprzemysłowienia kraju. Pierwszy powstał państwowy instytut geologiczny, następnie wojskowy instytut przeciwgazowy, wreszcie instytut chemiczny, instytut metaloznawstwa, aerodynamiczny i szereg zakładów przy politechnikach, mających specjalne urządzenia do rozwiązywania zagadnień technicznych.

Rodzić się też poczęły nowe gałęzie przemysłu. Powstały wielkie państwowe i prywatne wytwórnie uzbrojenia, fabryki materjałów wybuchowych i prochu, wreszcie powstała wielka fabryka nawozów azotowych w Mościcach. Instytucje te i wytwórnie stały się jednocześnie wielkimi ośrodkami dalszego doskonalenia i dalszej specjalizacji młodych inżynierów. W wyniku ostatecznym tworzyły się również nowe gałęzie przemysłu, obsługiwane niemal wyłącznie przez wychowanków polskich uczelni akademickich.

Gdyby nie wojna, Polska byłaby na utartym gościńcu prowadzącym do istotnego uprzemysłowienia kraju, do udoskonalenia urządzeń miejskich, do dalszego wspaniałego rozwoju portu w Gdyni. Hitler wiedział dobrze, że dalszy etap rozwoju Polski to przejście do takiej masowej produkcji, w której wytwórczość przemysłowa Polski poczęłaby wzrastać w tempie bardzo szybkiem.

Zapewne przejdą lata zanim zostaną zebrane materjały potrzebne do napisania historji rozwoju przemysłu polskiego w latach od 1919 do 1939. W artykule publicystycznym wystarczy dać kilka typowych przykładów, nie kusząc się o wyczerpanie całości.

Oto najbardziej poważne osiągnięcia techniki polskiej.

W miejscu, gdzie trzeba było wszystko stworzyć sztucznie, gdzie nie było żadnych naturalnych udogodnień, w czasie rekordowo krótkim powstał wielki port gdyński. Marynarka polska, zwłaszcza wojenna, rozwinęła się w rekordowo krótkim czasie, a wyczyny bohaterskie małej, ale jakże dzielnej floty, są najlepszym dowodem, jak wielkie postępy poczyniliśmy w tej dziedzinie.

Rozwój kolejnictwa polskiego jest również chlubą inżynierów polskich. W chwili wybuchu wojny w r. 1939 tabor kolejowy, służba ruchu i eksploatacja kolei stała na bardzo wysokim poziomie. Usunięto w bardzo krótkim czasie wszystkie zniszczenia wojenne, odbudowano setki zniszczonych mostów i stacyj kolejowych, doprowadzono do porządku zniszczone tory, uczyniono z kolei dogodną i szybką komunikację. Zaprowadzono stale kursujące pociągi-torpedy, umożliwiające przerzucenie się w bardzo krótkim czasie z jednego końca Polski na drugi. Wagony polskie kursujące na linjach międzynarodowych, cieszyły się zasłużonem powodzeniem zagranicą. Zaczęły również napływać z zagranicy zamówienia na parowozy i wagony. Parowozy budowaliśmy dla państw bałkańskich i Afryki. Międzynarodowe towarzystwo wagonów sypialnych zamawiało w Polsce wagony sypialne i restauracyjne.



Huty śląskie

W dziedzinie gospodarki miejskiej początkowo powierzaliśmy roboty nad kanalizacją i wodociągami przedsiębiorstwom zagranicznym. Wyszliśmy na tem bardzo źle, to też niebawem rozpoczęliśmy gospodarować sami, co dało doskonałe wyniki. Największą zasługę w tej dziedzinie ma śp. Stefan Starzyński, prezydent miasta Warszawy, bohater ostatniej wojny. Dzięki jego niezwykłej pracy, inicjatywie i zdolnościom administracyjnym zamienił on Warszawę na wielkie, pięknie urządzone, nowoczesne miasto.

W górnictwie, zwłaszcza w górnistwie węglowem mieliśmy najnowocześniejsze urządzenia i metody wy-

dobywania węgla i zastępowania go pod ziemią tak zwaną "podsadką" z piasku. Konkurować mogliśmy z Anglją, mimo, że mieliśmy do pokonania olbrzymią przestrzeń z miejsca wydobycia węgla do portu gdyńskiego. Efektywność pracy robotnika była wielka dzięki pracowitości górników i wysokiej technice urządzeń kopalnianych.

Przeróbka węgla na koks rozwijała się nader pomyślnie. W latach ostatnich przed wojną pracowały pełną parą wszystkie nasze koksownie. Podniesiono znacznie jakość naszego koksu. Mieliśmy doskonałą fabrykę przerobu smoły pogazowej i wytwarzane u nas produkty były przez rynki zagraniczne chętnie nabywane. Sieć gazowni miejskich dopełniała obrazu przeróbki i uszlachetniania węgla przed jego ostatecznem spaleniem.

Gorzej się rzecz przedstawiała z produkcją żelaza, a właściwie surówki odlewniczej i żeliwa do wytwarzania stali. Konsumpcja żelaza wzrastała w kraju w tempie zbyt powolnym. Kryzys lat 1931-1935 stanął na przeszkodzie podwojeniu lub potrojeniu konsumpcji wewnętrznej żelaza. Mieliśmy też trudności z surowcem. Musieliśmy kupować wysokoprocentową rudę zagraniczną a nasze własne zapasy rud nisko-procentowych okazały się znacznie mniejsze, aniżeli początkowo przypuszczano. Nie bez wpływu też pozostawał fakt, że koks Polski wytwarzany z węgli mniej zdatnych do koksowania musieliśmy mieszać z koksem sprowadzanym, co oczywiście podrażało produkcję.

Całkiem inaczej wyglądała sprawa produkcji wysoko-wartościowych stali i wyrobów z tej stali. Mogliśmy oprzeć naszą technikę na podstawach naukowych. Rozporządzaliśmy dwoma świetnie urządzonymi zakładami metaloznawczymi i szeregiem pierwszorzędnych specjalistów. To też doszliśmy w tej dziedzinie do doskonałych wyników. Rozwinęliśmy u siebie poważny dział przemysłu obrabiarkowego, stali narzędziowej, pilników, rur, narzędzi rolniczych i t. p. Z roku na rok wyroby te stawały się towarem coraz bardziej poszukiwanym na rynku zagranicznym. W kraju też rozpoczęto stosować nowe metody walcowania blach według pomysłu inz. T. Sędzimira, który pracuje obecnie w Ameryce i jest wysoko ceniony jako jeden z wybitnych wynalazców w dziedzinie metalurgji.

Dzięki postępom w dziedzinie metaloznawstwa i metalurgji oraz mechaniki, w rekordowo krótkim czasie wyspecjalizowaliśmy się w wyrobie broni ręcznej, karabinów maszynowych, armat i dział przeciwlotniczych.

Budowa płatowców, zwłaszcza pościgowych, osiągnęła również znaczny poziom. Chlubą naszą byli lotnicy polscy, dobre maszyny, umiejętnie przez nich kierowane, zdobywały one parokrotnie najwyższe odznaczenia w zawodach międzynarodowych. Światowe uznanie zdobyły nasze balony, z powodu bezkonkurencyjnej powłoki balonowej. Kilka razy zdobywaliśmy pierwsze miejsce w tych zawodach.

Fakt ten łączył się ściśle z postępem naszego przemysłu kauczukowego. Wspomnieć należy, że śp. prof. i ppłk. Zygmunt Wojnicz-Sianożęcki utworzył przy kierowanym przez siebie Wojskowym Instytucie Przeciwgazowym pracownię badawczą kauczuku naturalnego. Dzięki systematycznej pracy teoretycznej nad kauczukiem wyrugowano w krótkim czasie mało-wartościowe przepisy empiryczne a na miejsce półwykwalifikowanych majstrów stanęli do pracy młodzi inżynierowie-chemicy. Po paru latach przemysł kauczukowy stanął na wysokim poziomie wytwórczości. Wówczas dokonano też wynalazku najlepszej powłoki dla balonów.

Przed samą wojną powstała również mała wytwórnia sztucznego kauczuku, oparta na metodzie opracowanej przez inż. W. Szukiewicza w Chemicznym Instytucie Badawczym w Warszawie. Dopiero po wybuchu wojny przekonaliśmy się, że Polska była jednem z państw zaawansowanych więcej, niż inne kraje, w rozwiązaniu tego problemu. Nie szliśmy tu w kierunku naśladownictwa i usiłowaliśmy produkować sztuczny kauczuk z jednego tylko, a nie dwóch podstawowych surowców. Opony samochodowe i inne wyroby ze sztucznego kauczuku dorównywały a pod niektórymi względami przewyższały kauczuk naturalny. Opinja ta zresztą potwierdzona została również tu w Ameryce.

POEZJE POLSKI PODZIEMNEJ

Ze zbioru „Werble Wolności" wydanego w Warszawie, w styczniu 1943 r.

NIEZWYCIĘŻENI

Jesteśmy silni — nie orężem,
Lecz wolą twardą, nieugiętą,
I świadomością, że walczymy
Za sprawę świętą.

Pozornie jesteśmy bezbronni,
Ścigani i uciemiężeni,
Lecz sztandar nasz nosi hasło:
Niezwyciężeni.

Choć wciąż naszą drogę męczeńską
Znaczą krzyże, stryczek, mogiły,
My z nich nie rozpacz czerpiemy
Lecz nowe siły.

I chociaż nas wróg zdziesiątkuje
I tylko nas garść zostanie —
Z szubienic tych, mogił i krzyżów —
Polska powstanie.

MŁODYM

Jeśli serce w piersi za ciężkie —
Pierś rozetnij i serce rwij.
Wyściel drogę wiośnie zwycięskiej
Mostem ramion, purpurą krwi.

Jeśli z piersi krew nie wytryśnie,
Starczy okrzyk rozgrzanych luf.
Wytęż oczy. Zęby zaciśnij.
Stawaj w szereg. Nie trzeba słów.

Cóż, że depczą? Cóż, że są siłą?
Cóż, że miażdżą kolbami twarz?
W mur głowami! Serca przez wyłom!
W dni Bastylji zwycięski marsz.

W pierś niech biją młotem — nie pęknie,
Zatknij usta, choć w ustach krew...
Jeszcze będzie jaśniej i piękniej,
Będzie radość i będzie śpiew.

MELCHJOR WAŃKOWICZ

DZIEJE RODZINY KORZENIEWSKICH

Korzeniewscy, pochodzący z Katowic, wywiezieni przez Rosjan ze Lwowa daleko za Ural, pracują przymusowo przy wyrębie lasów. Głód, trudy ponad siły i straszne warunki bytowania zbliżają nieuchronnie koniec ich życia. Oto dalszy ciąg pamiętnika Oli Korzeniewskiej i opowiadania na tle jej relacji.

IV.

"Henuś bardzo się o mnie teraz troszczy. Mam u siebie oddzielny słoik miodu, jadam jaja. Przynosi mi również ze wsi pierogi rosyjskie, małe chlebki. Śmieję się z niego, że dba o syna. Takbym już chciała wiedzieć, czy naprawdę będę miała dziecko, czy to tylko taka słabość okropna. Mam stale nudności.

Mówiłam zawsze Heniowi, że Bóg da nam dziecko dopiero wtedy, gdy już będzie dobrze na świecie, gdy już będę w takich warunkach, że nie będzie mnie to napawało rozpaczą i lękiem. Gdybym teraz zdobyła pewność, że istotnie jestem w ciąży, wiedziałabym niezbicie, że chwila wyzwolenia jest bliska.

"Wiele rzeczy mnie ominęło: suknia ślubna, własne mieszkanko gwiazdka u siebie. Czyżby i przygotowywanie wyprawki dla dziecka i to dla pierwszego dziecka również nie miało być moim udziałem? Ale przecie rozumiem, że Bóg jeśli zsyła małe przykrości, to po to, aby zaoszczędzić na wielkich."

Tymczasem Bóg poczyna zsyłać i małe radości. Mąż dzięki swoim wyprawom jest w stanie być ich sprawcą:

"Rano przed wyruszeniem w tajemnicy kupił mi w magazynie karafkę, rondelek malowany zieloną farbą, pieprzniczkę i paczkę pieprzu. Ogromnie się ze wszystkiego cieszę, bo to zalążek naszego gospodarstwa. Mamy sporo zapasów: dwa słoiczki miodu, puszkę mąki, paczkę pieprzu."

15, 17, 19, 20, 24, 25 wrzesień, 1941 r.

Notatki z tych dni zawierają opis wyruszenia do stacji kolejowej i pobytu na niej. Po wyjechania innych grup przyszła kolejka na grupę jadącą do Pierwouralska, do której zdecydowała się przyłączyć rodzina Korzeniewskich. Wiele kłopotów z zakupem skrzyni na rzeczy. Ostatniej nocy pluskwy tak strasznie gryzą, że wszyscy są śmiertelnie niewyspani. Dawniej z roboty w lesie walili się nieprzytomni na prycze i nie spali tylko w noce, kiedy następował nowy wyrój pluskiew. Obecnie nie są widać tak zmęczeni i absolutnie nie mogą sypiać, Ola więc ratuje się pisaniem pamiętnika przy świetle knota, bo ma nadzieję, że światło powstrzyma pluskwy.

Pozatem ciągła konieczność znajdowania się na miejscu, bo w każdej chwili każą im wyruszyć znowu — ogranicza możność poszukiwania żywności.

"Dzisiaj wyjątkowo jestem najedzona, bo cały niemal barak mnie dożywiał a wszystko a conto mego spodziewanego dzieciątka. Więc p. Ala Silbermanowa dała mi kawałek chleba z marynowanym śledziem (nie silę się wcale opisywać, co to była za pycha!) oraz kawałek chleba z miodem, p. Lederkramerowa — jak to w baraku — słysząc przez ścianę o moich dolegliwościach, przysłała mi zaraz wspaniały przysmak: kawałek chleba z rzepą, zaś pani Adlerowa dolała mleka do moich klusek na wodzie.

Wogóle ludzie byli dla nas tacy dobrzy dzisiaj, że trudno opowiedzieć. Kochana, najlepsza Zula Erbesfeldowa podarowała mnie i Hance po parę pończoch a mnie ponadto jedwabną granatową bluzeczkę; Hanka już przedtem dostała podobną od Natki. Ponadto Zula przysięgła, że nie przyjmie od nas zwrotu pieniędzy, które od niej pożyczyliśmy — woli odebrać dług w Polsce. Ponieważ reszta naszych wierzycieli a więc p. Blanksteinowa, pp. Honigbaumowie i pp. Turnheimowie złożyli identyczne oświadczenia, skonstatowaliśmy ze zdumieniem, że została nam na ręku cała wypłata i znaleźliśmy się w posiadaniu sumy, o jakiej nie marzyliśmy — 500 rb. (na 7 osób, przyczem należy wziąć pod uwagę, że pieniądz w Rosji nic niemal nie znaczy, jeśli się nie ma uprawnień do nabywania produktów po normalnych cenach. Dalsza więc droga i dalsze losy rodziny Korzeniewskich zależały nie od tej "astronomicznej" cyfry, a od tego czy będą mieli te uprawnienia).

Droga na przystanek kolejowy była ciężka. Rzeczy wiozły fury, ludzie szli. Padał deszcz. Matka zaniemogła, wstąpili do wsi przydrożnej, tam matka wróżyła z kart, zbiegła się cała wieś. Cała rodzina niesłychanie się najadła, a nadto udało im się kupić dwa kilogramy soli i dwanaście paczek zapałek. Wreszcie dobrnęli do przystanku kolejowego:

"Spaliśmy dziś w klubie — myślałam, że umrę z zimna, nerki mnie rozbolały. Głodujemy okropnie. Stołówka bardzo droga. Jest jedna tania zupa za 54 kopiejki — pozatem dania po kilka rubli."

Na drugi dzień wynajęli izbę, w której mieściła się chłopka z trzema synami. Siedzieli na podłodze, ale było im przynajmniej ciepło. Niestety na trzeci dzień przyjechał gospodarz ze spławu drzewa i trzeba było się wynosić. Koniec września na Uralu — to nie żarty! Pozwolono im zamieszkać w pustej izbie gminnej. Zi-



Polscy „wolno-osiedleńcy" pod Uralem

mno! "Tak mnie nerki bolą, że chwilami zwijam się poprostu."

Na następny dzień zapisuje: "Jestem taka chora, taka chora... W nocy miałam silną gorączkę, nerki bolą mnie nieustannie, męczą mnie ciągłe dreszcze. Co godzinę przynajmniej muszę chodzić na dwór, tak jak ogromnie podobał gospodyniom sowieckim, bo był czarny i że za taki szal powinnoby się na stosunki sowieckie żądać 2500 rb.; oni już go gotowi byli oddać za 250 rb. ale nie mogli go zbyć. We wszystkich ważniejszych momentach życiowych od czasu zwolnienia z przymusowych ro-



„...nędzarzy przeraża zbliżająca się zima..."

zresztą wszyscy. Wszyscy jesteśmy też poprzeziębiani w niemożliwy sposób.

Cała grupa postanowiła starać się o zmianę obranego miejsca zamieszkania. Dowiedzieliśmy się, że w Pierwouralsku jest tylko przemysł wojenny z 11-stogodzinnym dniem pracy. Podobno o wyżywienie tam bardzo trudno—kartofle 35 rb. pud (16 kilo — według więc tej miary "astronomiczny" kapitał sześciosobowej rodziny Korzeniewskich równałby się tonnie kartofli — produktu w Rosji stosunkowo najtańszego. Jak zobaczymy dalej, cena kartofli w istocie była wyższa — po 54 rb.)"

27. IX. 41. Oczekiwanie na pociąg się przeciąga. Pod wpływem wieści o trudnościach aprowizacyjnych, wszyscy chcą jechać dalej, na południe. Nikt dobrze nie wie, czy na tem południu nie będzie jeszcze gorzej ale nędzarzy przeraża zbliżająca się zima. Mąż Oli wyrusza w szerokim promieniu, aby sprzedać futerko Jurka, bluzkę Antosi i wielki czarny szal, chce zdobyć pieniądze na bilet kolejowy na południe. Ten wielki czarny szal, który teściowa Oli, kiedy siedzieli zamknięci w wagonie na peronie lwowskim, kupiła w ostatniej chwili od zakonnicy — ten wielki szal ma poczesne miejsce w pamiętnikach. Wiem na pamięć, jak był wielki i gruby i ciepły i puszysty i jak się bót, kiedy cokolwiek się dzieje — zbiórka informacyjna, przyjazd sowieckiego dygnitarza, wypłacanie awansów, nagły wyjazd na przystanek kolejowy — męża Oli nie ma. Pamiętnikarka z całem poczuciem ważności jego nieobecności komunikuje: "Henusia właśnie nie było, bo poszedł sprzedawać szal".

W bezczynnem tygodniowem oczekiwaniu na pociąg, uskarża się pamiętnikarka na konieczność ciągłego obcowania w zbitem i nieszczęsnem stadzie ludzkiem. I jak przedtem przez pamiętnik przewijały się przepisy kulinarne — tak nagle teraz — widzę starannie wypracowany plan własnej willi sześciopokojowej. Co najgorsza — nawet z takimi wymysłami jak oszklony balkon, w którym by hodowały się rośliny. Jak — kominek!

Ma jednak rację władza sowiecka, że niezmiernie ciężko jest "pierekowat" (przekuć — termin powszechnie używany w załganej deklamacji o przerobieniu więźnia na nowe życie. Uwaga: sam zbytnio ulegam wrażeniu, czytając te pamiętniki do tego stopnia, że poczynam się posługiwać niewłaściwą terminologią; rodzina Korzeniewskich, to nie byli więźniowie, nie mieli żadnego wyroku ani nawet zsyłki administracyjnej tak powszechnej w Rosji. To byli — "wolnoosiedleńcy").

27.IX.41. "Od wczoraj wieczorem stoimy na głowie. Zawiadomiono nas o 11-ej w nocy, że na rano będzie wagon jeden na 60 osób. Henka niema — poszedł sprzedawać szal. Ci co wrócili z Krasnoufimska, mówią, że zamierzał zostać na jutro, bo jutro jest "wychodnoj dień" w Krasnoufimsku i dopiero będzie prawdziwy targ.

"Dzisiaj odmówiono nam chleba".

28.IX.41. "Jesteśmy zarośnięci brudem. Stoimy już 24 godziny na stacji — nie mamy pojęcia, kiedy nas przyczepią do jakiego pociągu. Ale przez to się Henuś znalazł. Szala nie sprzedał. Przywiózł okropne wiadomości. Wszyscy nieszczęśliwi "wolni" Polacy czekają tygodniami po stacjach kolejowych. Keszenbergowie postanowili zrezygnować z podróży i zostać na miejscu."

1.X.41. Chrompik koło Pierwouralska. "Jechaliśmy owe 80 klm. — trzy doby. Odstawiano nas na skrzyżowaniach na całe godziny. Pozwolono nam kupić po 40 dkg. chleba na osobę.

W Pierwouralsku można zdobyć pracę w lesie. Ale pud kartofli kosztuje 54 ruble. W całym Pierwouralsku obecnie można zdobyć tylko dwa artykuły, po które ustawiają się w kolosalne ogonki ludzie zaraz po przyjściu z pracy, aby na rano po otwarciu sklepu móc mieć nadzieję co dostać. Jeden ogonek jest po mięso końskie, drugi — po miód. Konina po 10 rb. za kilogram, miód po 30 rb., ale miodu już podobno niema.

Mamuchna z Hanką poszły sprzedać szal. Najbardziej się boję, że znowu nie zdecydują się sprzedać tej ostatniej rzeczy za grosze i że nie będziemy mogli jechać dalej i zostaniemy tutaj."

3.X.41 r. — Chronyńk. "Stoimy tu na stacji już trzy doby. Większość czasu spędzamy na naszej pryczy na trzeciem piętrze, bo gdzieindziej miejsca nie ma."

7.X.41 r. — Swierdłowsk. "Już trzecią dobę stoimy na stacji w Swierdłowsku." Okazuje się, że szala nie sprzedano ale "na szczęście" Rada Miejska Chronyńka wystąpiła do władz z protestem, z zaświadczeniem na piśmie, że w Chronynku miejsca niema. Wobec tego przepchnięto ich do Swierdłowska—przestrzeń 40 kilometrów, oddzielających Chronyńk od Swierdłowska jechali 12 godzin. Pozwolono im wyjść na Swierdłowsk—dawny Ekaterynburg, bogate miasto carskiej Rosji. Było to wogóle pierwsze większe miasto rosyjskie, jakie widzieli. Na głównej ulicy rzuciły im się w oczy na wystawach sklepów zwoje kiełbasek, bochenki białego chleba, sery szwajcarskie... I żadnych ogonków? — Okazało się, że są to makiety z papier-maché.

(Ciąg dalszy nastąpi)

J. P. JUNOSZA

"CONDEMNED"

Artykuł niniejszy jest przedmową do mającej się ukazać w tych dniach książki Dr. H. Szoszkiesa, pod tytułem: "Kartki z Księgi Ghetta". Książka ta ukaże się w języku żydowskim i angielskim.

"Byłem przez 6 godzin na Umschlagplatz" — pisze jeden z nielicznych świadków najstraszniejszej w dziejach świata tragedji ludzkiej, likwidacji ghetta w Warszawie. "Przeciskamy się przez tłum. Jest upał nieludzki, ścisk, zaduch. Wszędzie panuje smród nie do wytrzymania. Ci ludzie pocą się, chorują, załatwiają swoje potrzeby — gdzie kto stoi. Na trzeciem piętrze jakaś kobieta zupełnie nieprzytomna, z obłędem w oczach — nie woła, lecz wyje poprostu: "Wzięli, wzięli!" Ktoś mówi: "Zabrali jej dwoje dzieci do wagonu". Ja stałem ogłuszony, oszołomiony, wstrząśnięty. Przez jakieś skojarzenia wydaje mi się chwilami, że jesteśmy na stacji kolejowej, że czekamy na pociąg. Wtem jakieś słowo, jakaś scena przypomina, że to pociąg śmierci, że ci ludzie męczą się, tłoczą i czekają — na zagładę. Widziałem idących w dół z determinacją: 'Wszystko lepsze od tego znużenia i oczekiwania. Idę". Widziałem innych, którzy słysząc, że Niemcy idą po nową partję, tracili zmysły z przerażenia, mdleli, padali. Widziałem żydowskiego milicjanta, który perswadował swojej matce, że niema dla niej ratunku: "Mamo, prędzej się to wszystko skończy" i prowadził ją za rękę po schodach do wagonów. Jakaś dziewczyna wpadła na korytarz w porwanej sukni, zaczęła krzyczeć:— "Wszyscy czworo zabrani, jestem sama, sama! Zabijcie mnie!"

"Niejednokrotnie zdarzają się samobójstwa zbiorowe, matka z dzieckiem, mąż z żoną".

"Na mur przylegający do "Umschlagplatz" wyszedł po drabinie niemiecki urzędnik celny — celnik, nie żołnierz ani policjant — i zaczął bawić się strzelaniem do okien z karabinu, siadłszy okrakiem na murze."

— "Zeszłej nocy Ukraińcy i Łotysze dokonali w ghetcie masakry paru tysięcy ludzi. Zabijano w mieszkaniach, na ulicach. Rano widziałem dwa duże wozy naładowane trupami dzieci. Zupełnie małych. Do 2 lat."

"Świat milczy. Świat wie co się dzieje, nie może być inaczej, i milczy... Przeraża to milczenie i zdumiewa. Może znalazłby się język, którym Niemiec potrafił zrozumieć a którymby krzyknął: "dosyć!" Język siły i kary."

"Na ulicy Nowolipie widziałem scenę klasyczną: żydowscy milicjanci pod rozkazami SS-mana znieśli z mieszkania jakąś staruszkę, widocznie sparaliżowaną czy niedołężną razem z krzesłem. Niemiec kazał postawić ją na ulicy, poczem podszedł na odległość kroku; patrząc starej kobiecie prosto w twarz, powolutku wyciągnął pistolet i wśród kamiennego milczenia — pociągnął za cyngiel." (Wyjątki z tajnej prasy polskiej).

Takich opisów, takich faktów — są tysiące i dziesiątki tysięcy. I jest też straszliwa i bohaterska walka kilkunastu tysięcy skazanych na śmierć, walczących w ghetcie warszawskiem przeciwko przeważającej, bezkarnej masie niemieckich bestji. Nie walczących już o życie, bo nie mieli oni nadziei uratowania własnego życia. Ale sprzedawali je drogo. Każdy zastrzelony Niemiec uwalnia świat od jednego zbrodniarza.

Jakże absurdalne na tem tle wydają się odbywane w ciszy, spokoju i bezpieczeństwie amerykańskiej rzeczywistości dyskusje o "dobrych Niemcach", o odpowiedzialności zbiorowej czy indywidualnej. Istotą rzeczy w tem wszystkiem jest fakt, że istniał i istnieje w Niemczech jakiś potworny, niepojęty klimat moralny, z którego mogły narodzić się takie akty. Bo to nietylko jest masowa eksterminacja narodu żydowskiego. Jest w tem i to na każdym kroku jakiś szatański sadyzm. Ludzi skazanych na śmierć, w myśl obłąkańczej ideologji niemieckiego rasizmu, przed zadaniem śmiertelnego ciosu torturuje się dniami, tygodniami, nawet miesiącami. Oprawcy świadomie dręczą swoje ofiary. Rozdzielanie dzieci od rodziców i mordowanie ich na oczach rodziców — to dla niemieckiego kata zabawa. Wyrzucanie starców i dzieci przez okna i strzelanie do nich "w locie" — to sport nietylko dla SS-manów ale nawet cywilnych urzędników i młodzieży niemieckiej.

Z niemieckiej klęski część młodzieży się uratuje. Czy możemy dziś myśleć spokojnie o tem, że za parę lat mordercy, kaci, degeneraci jakich ziemia nie nosiła, będą z nami utrzymywali stosunki, rozmawiali, może domagali się równych praw i przywilejów? Przecież tak było po ostatniej wojnie.

Byłem osobiście nieraz poza murami warszawskiego ghetta aż do mego wydostania się z okupowanej Polski, co nastąpiło w końcu września 1940 roku. To był dopiero początek, przygotowanie do potwornej mordowni, jaka się zaczęła w kilkanaście miesięcy potem.

Widziałem w ciągu 13-tu miesięcy mego pobytu pod okupacją niemiecką niezliczone akty teroru, bestjalskiego pastwienia się nad Żydami. Potem zaczęły się łapanki i aresztowania Polaków. Obozy koncentracyjne i więzienia zapełniły się tysiącami ofiar. Tysiące ginęły i giną w torturach. Ale ani na chwilę nie ustawała i nie ustaje walka. Powstała sieć tajnych organizacji, powstało setki pism podziemnych, wyrosła z pod ziemi zorganizowana armja bojowców wolności.

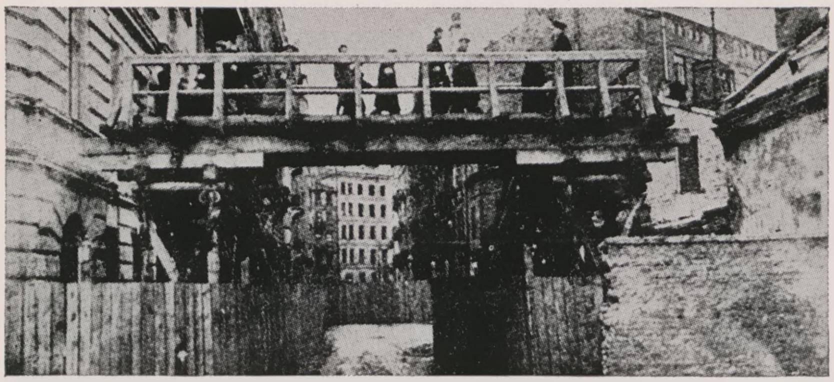
Za mego pobytu w Warszawie wznoszono mury wysokie na trzy metry, pokryte na wierzchu tłuczonem szkłem. Mury, które odgrodziły setki tysięcy żywych ludzi od reszty świata, które pogrzebały tych ludzi skazanych na powolną śmierć w torturach. Wolno jeszcze było wchodzić i wychodzić z ghetta, mimo że wielkie napisy u wejść głosiły: "Senchengefahr".

Ale przyszła do ghetta zaraza gorsza od dżumy i cholery, przyszła w mundurze niemieckiego policjanta, żołnierza i urzędnika. Ta sama zaraza wymordowała setki tysięcy inteligencji polskiej i morduje tysiące polskich chłopów w Lubelszczyźnie.

Cyfry wymordowanych Żydów w Polsce obliczane są na 1,800,000. — Może 2 miljony, może więcej a może mniej. Obliczenia są trudne w warunkach, jakie panują w tym olbrzymim obozie koncentracyjnym, jakim stała się Polska pod Niemcami. Dziś trzeba ratować tych, którzy jeszcze pozostali przy życiu. Każdej bombie na niemieckie miasto, każdej bombie na niemiecką wieś winien towarzyszyć deszcz ulotek głoszących Niemcom, że to kara za miljony niewinnych ofiar, mordowanych w Polsce, w Czechosłowacji, w Grecji, Francji, w Norwegji a teraz i we Włoszech, w całej Europie okupowanej przez niemieckiego potwora — zwłaszcza w Polsce. To co się dzieje w Polsce— przekracza wszelkie kryterja rozumu, wkracza w dziedzinę masowego obłędu, satanizmu, który ogarnął cały niemiecki naród.

Te nieliczne, zdrowe jednostki niemieckie, które oparły się obłędowi — albo były zbyt słabe, aby się przeciwstawić, aby głośno protestować lub walczyć—ze strachu uległy przemocy i milczą. Albo — jeżeli podniosły głos w proteście — umilkły nazawsze pod toporem kata lub we własnych obozach koncentracyjnych.

Gdzie jest niemiecki sabotaż? Gdzie jest niemiecki ruch podziemny? Dla-



Mury ghetta w Warszawie

czego widzimy tysiączne przykłady zorganizowanej akcji podziemnej w całej Europie a tylko nie w Niemczech? I cóż z tego, że się ta akcja zacznie teraz, właśnie teraz, gdy potęga niemiecka zaczyna się kurczyć i gdy potrzebne jej jest alibi. Ta sama prusacka klika sama stworzy "underground". Pójdą z tajnych sztabów niemieckich rozkazy do jaczejek "dobrych Niemców" zagranicą, aby rozpoczęli głosić światu, że działają podziemia niemieckie, że istnieje demokracja niemiecka, że są sabotażyści niemieccy, "patrjoci" — znamy to napamięć. Nie wolno nam dzisiaj iść na lep niemieckiej "kampanji litości" podobnie jak to było w roku 1918.

Pamiętajmy, że w Europie pozostało przy życiu — jeśli można to nazwać "życiem" — parę miljonów Żydów. Pamiętajmy, że jest w mocy naszej, nas wszystkich — uratować ich. Za zamordowanego Żyda, za zamordowanego Polaka, Francuza, Belga, Holendra i innych—musi zginąć tyluż Niemców. Ale Niemcy muszą o tem wiedzieć. Dziś, zaraz muszą o tem wiedzieć. Hitlerowiec mordujący chorą staruszkę żydówkę, musi wiedzieć, że ginie jego matka, jego żona, jego dziecko. Może go przejmie strach i zatrzyma się przed nowym morderstwem. Nie z litości, bo szatan nie zna tego uczucia. Tylko ze strachu. Bo on musi wiedzieć, że on także zginie.

Skazani. Nie ci, co walczą o wolność są skazani. Ci — będą żyli wolni. Ale mordercy muszą ponieść zasłużoną karę. Nie będzie to ślepa zemsta, tylko sprawiedliwy wyrok lekarza, który wycina raka, zanim on zniszczy organizm ludzkości.

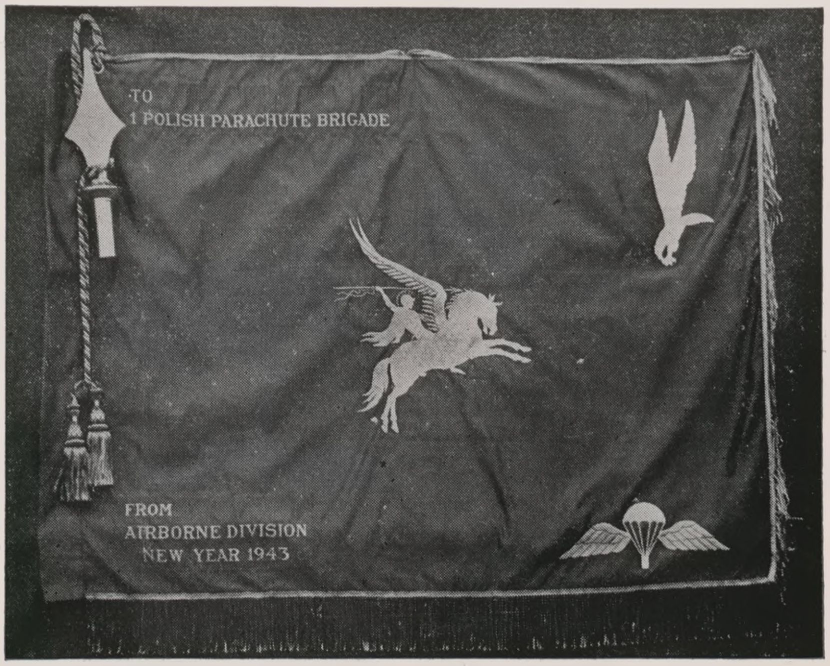
DOWÓDCA SPADOCHRONIARZY POLSKICH
W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Przed kilkoma dniami przybył do Stanow Zjednoczonych z wizytą do amerykańskich wojsk spadochronowych jeden z najwaleczniejszych oficerów Wojsk Polskich, pułkownik Stanisław Sosabowski, wsławiony bohaterską obroną Warszawy na stanowisku dowódcy jednego z odcinków bojowych stolicy Polski, a obecnie twórca i dowódca Polskiej Dywizji Powietrznej, która obejmuje zarówno Brygadę Wojsk Spadochronowych, jak i oddziały lądujące ze ślizgowców (t. zw. air-borne troops).

Pułk. Sosabowskiemu towarzyszy kilku oficerów-spadochroniarzy polskich, należących do jego sztabu. Cała grupa pozostanie w Ameryce przez czas stosunkowo krótki, objeżdżając amerykańskie obozy treningowe wojsk powietrznych, poczem pułk. Sosabowski, na zaproszenie organizacji Weterańskich i Sokolich, przybędzie do dwóch lub trzech miejscowości dla opowiedzenia Polonji zarówno o swoich walkach warszawskich, jak i pracach wspaniałej jednostki bojowej, jaką jest polska Dywizja Wojsk Powietrznych, a szczególnie Brygada Spadochronowa. Hasłem jej jest "NAJKRÓTSZĄ DROGĄ" — oczywiście mowa o powrocie do Polski najkrótszą, bo powietrzną drogą.

W Waszyngtonie, gdzie płk. Sosabowski zatrzymał się przez dwa dni przed rozpoczęciem objazdu obozów amerykańskich, opowiedział korespondentowi PAT'a pokrótce o polskich wojskach powietrznych. Jak wynika z wyjaśnień płk. Sosabowskiego, armja polska jest jedyną z pośród sił zbrojnych państw okupowanych przez wroga, która posiada wielką jednostkę wojsk powietrznych, własnych instruktorów i to nietylko dla siebie, ale i dla wojsk aljanckich, przygotowujących oddziały spadochroniarzy. W polskiej Brygadzie Spadochronowej wyszkolono dotąd spadochroniarzy francuskich, czeskich, norweskich, holenderskich i belgijskich.

Do stworzenia Brygady Spadochronowej zabrał się płk. Sosabowski jeszcze we Francji w 1940 r., natych-



Sztandar Polskiej Brygady Spadochronowej ofiarowany przez dowództwo Brytyjskiej Dywizji Wojsk Powietrznych.

miast po wydostaniu się z pod okupacji niemieckiej i sowieckiej — bo znalazł się, po zdobyciu Warszawy przez Niemców, pod obiema okupacjami kolejno. Faktycznie jednak Brygada Spadochronowa powstała dopiero w Szkocji.

Talent bojowy płk. Sosabowskiego idzie w parze z jego talentem organizacyjnym i pedagogicznym. Przed wojną był on w Polsce przez wiele lat profesorem Wyższej Szkoły Wojennej. Jest również autorem wielu dzieł z zakresu wiedzy wojskowej i psychologji wojska. Sam — pomimo wieku (ponad pięćdziesiątkę!) bierze udział w skokach ze spadochronem, co wymaga, jak wiadomo, doskonałej kondycji fizycznej.

Płk. Sosabowski, który za obronę Warszawy otrzymał najwyższe odznaczenie bojowe polskie — "Virtuti Militari" — ostatnio odznaczony został przez rząd Wielkiej Brytanji zaszczytnym orderem — Commander of the British Empire.



Po wręczeniu Polskiej Brygadzie Spadochronowej sztandaru ofiarowanego przez Brytyjski Dywizjon Wojsk Powietrznych.

OPINJE I ZDARZENIA

"Z PIERWSZEJ LINJI FRONTU"

Organizacje Polski Podziemnej wydały w Warszawie w marcu 1943 roku wstrząsającą książkę "Z pierwszej linji frontu" opartą na relacjach naocznych świadków, które publikacji tej nadają bezcenną wartość historycznego dokumentu. Książka "Z pierwszej linji frontu" omawia przebieg kampanji wrześniowej, życie ludności polskiej pod okupacją, teror obozów koncentracyjnych, akcję eksterminacyjną okupantów, prześladowanie religji katolickiej i daje szeroki i jasny obraz niezłomnego oporu polskiego. Jako autorzy tej niezwykle mocnej i tragicznej książki figurują anonimowi pisarze: "Tropiony Konspirator", "Ocaleni z pogromów", "Sędzia, któremu wciśnięto pióro do ręki", "Wywłaszczeni", "Matka, której dzieci wyrwano na poniewierkę", "Świadkowie egzekucji publicznych", "Historyk literatury, który stać się musiał historykiem męczeństwa swego narodu", "Ludzie, których zeznania posiadają już certyfikat śmierci", "Przechodzień" i "Żołnierze".

Książka dedykowana jest "Żołnierzowi, który walczy, pomści i odbuduje Ojczyznę".

THE BLACK BOOK OF POLISH JEWRY

W tych dniach nakładem "The American Federation for Polish Jews" przy współudziale "The Association of Jewish Refugees and Immigrants from Poland" wyszła wstrząsająca książka. Jest to "Czarna Księga męczeństwa Żydów polskich", gruby tom o trzystu kilkudziesięciu stronicach, napewno jedno z najstraszliwszych oskarżeń przeciw Niemcom, dokument tak potwornego zdziczenia i takiego okrucieństwa, ze chwilami pytamy się czy to jest możliwe, co nam ta księga mówi — a na co niestety ma nieodparte świadectwa. Trzeba tę książkę dobrze kolportować, bronić się nią przeciw niebezpiecznym złudzeniom, które narazie jeszcze nieśmiało głos podnoszą jako legendy o "dobrych Niemcach" ale które mogą niedługo stać się naprawdę grozne. Redaktorem "Czarnej Księgi Żydowskiej" jest znany pisarz Jakób Appenszlak, jego najbliższymi współpracownikami zaś byli: Jakób Kenner, Dr. Izaak Lewin i Dr. Moses Polakiewicz.

CHLUBA LOTNICTWA POLSKIEGO

Major-pilot Gabszewicz, jeden z asów polskiego lotnictwa myśliwskiego otrzymał niedawno nominację na pułkownika R. A. F.-u i został odznaczony wysokim orderem brytyjskim D. S. O.

Pułk. Gabszewicz był w dniu 1go września 1939 r. podporucznikiem Polskich Sił Powietrznych i już w pierwszym dniu wojny zestrzelił samolot niemiecki. Sam został również zestrzelony i ratował się skokiem ze spadochronem z płonącego samolotu. Walczył potem we Francji, odnosząc dalsze sukcesy i brał udział w Battle of Britain, dowodząc przez pewien czas słynnym polskim dywizjonem 303.

JUBILEUSZ POLSKIEJ PRASY ŻOŁNIERSKIEJ

Polska prasa żołnierska w Wielkiej Brytanji obchodziła jesienią podwójny jubileusz. Tygodnik "Polska Walcząca", założony w roku 1939 w Coetquidan we Francji, święcił swe czterolecie a "Dziennik Żołnierza", wydawany w Szkocji obchodził jubileusz tysiącznego numeru. Dziennikarze w battle-dress'ach czekają niecierpliwie na chwilę, kiedy razem z wojskiem pójdą w bój i będą wydawać swój dziennik w polu — w drodze do Kraju.

ZGON EDWARDA DUBANOWICZA

Zmarł w Londynie znany za przedmajowych czasów sejmowych w Polsce polityk i parlamentarzysta, prof. Edward Dubanowicz, który wraz z tyloma Polakami więziony był w Rosji i wydobył się stamtąd po pakcie lipcowym. Dubanowicz, prawnik, lwowianin, był jednym z przywódców Stronnictwa Chrześcijańsko-Narodowego, grającego dużą rolę w dwóch pierwszych sejmach; jego współtowarzyszami w zarządzie stronnictwa i współwodzami na terenie sejmowym byli: prof. Stroński i arcybiskup Teodorowicz. Dubanowicz poświęciwszy się głównie zagadnieniom konstytucyjnym, był namiętnym obrońcą parlamentarnym nieograniczonych praw Sejmu i w tym charakterze zaciekłym przeciwnikiem marszałka Piłsudskiego; jego autorstwa był sławny, odrzucony zresztą wniosek o votum nieufności dla Naczelnika Państwa.



Spadochroniarze otwierają zasobnik (container) celem wyjęcia broni i emunicji.

CZY WIECIE ŻE...

...Poczta Polska wypuściła nową, trzecią z kolei serję znaczków polskich. Podkreślają one wysiłek zbrojny narodu polskiego po wrześniu 1939 r., ilustrując zarówno udział Polski na poszczególnych frontach obecnej wojny jak i walkę podziemną Kraju. Na polskich statkach popłyną w daleki świat listy ze znaczkami polskimi, tysiące, dziesiątki tysięcy ich pójdzie w drogę do krajów, w których biją przyjazne Polsce serca.

...Rada Miejska Pitermaritzburga w Południowej Afryce uchwaliła nazwać jedną z ulic miasta "Poland Street" na pamiątkę pobytu wojska polskiego w tem mieście. Żołnierze polscy zatrzymali się przez kilka miesięcy w Południowej Afryce w przejeździe z Bliskiego Wschodu do Anglji, z miejsca podbijając serca miejscowej ludności.

...już od roku pracują w Liverpoolu polskie zakłady naprawy statków. Kapitału zakładowego dostarczyli z swych oszczędności pracownicy Polskiej Marynarki Handlowej. Firma zatrudnia tylko Polaków, wśród których jest wielu inwalidów-marynarzy. Zakłady polskie naprawiły dotąd 30 statków od 500 do 10,000 ton należących do różnych narodowości; wśród nich było 9 statków Polskiej Marynarki Handlowej.

...niedawno z Włoch powróciło do Londynu trzech oficerów polskiego lotnictwa, którzy po kampanji tuniskiej dowodzili trzema dywizjonami myśliwców brytyjskich.

...major-pilot Witold Urbanowicz, as polskiego lotnictwa, pełni obecnie służbę w Czunkingu.

GÓRĄ PESTKI!

Polki z Pomocniczej Służby Kobiet, zwane popularnie "Pestkami" pracują coraz dzielniej, zdobywając sobie uznanie, gdziekolwiek tylko obejmują swe trudne posterunki.

Na Bliskim Wschodzie z armją polską współpracuje kilka tysięcy "Pestek". Najmłodsze z nich chodzą jeszcze do szkoły. 600 Pestek ukończyło naukę w tym roku. 300 pracuje w świetlicach, 1,000 prowadzi samochody. Drugi tysiąc pracuje w szpitalach polowych a przeszło tysiąc w łączności. Pozatem szereg z nich uczy w szkołach junaków i pracuje w wojskowych instytucjach oświatowych jak teatr i prasa żołnierska.

W POPRZEDNIM (55-ym) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Oświadczenie gen. Sosnkowskiego dla "Tygodnika Polskiego"; Od redakcji; Jerzy Laskowski: Nasi kolejarze na Bliskim Wschodzie; Zdzisław Czermański: Hitler the Music-Lover; Manfred Kridl: Kleiner i Piwiński; Jan Lechoń: Do Wielkiej Osoby; Władysław Broniewski: Pejzaże palestyńskie; Naczelny Wódz na Środkowym Wschodzie; Melchjor Wańkowicz: Dzieje rodziny Korzeniewskich; Opinje i zdarzenia.

Dalszy ciąg "Listy opiekunów Tygodnika Polskiego" podamy w jednym z najbliższych numerów. Prosimy o nadsyłanie prenumeraty za rok 1944 w wysokości $7.

SENSACYJNY KONKURS

Konkurs na pamiętnik żołnierski, ogłoszony przez dowództwo Armji Poskiej "Wschód" i redakcję "Białego Orła", będzie niedługo rozstrzygnięty w Nowym Jorku. Materjał nadesłany jest niezwykle obfity i zapowiada się wręcz sensacyjnie. W skład sądu konkursowego wchodzą: prof. Jan Kucharzewski (przewodniczący), Jan Lechoń i prof. Florjan Znaniecki.

UPRZEJMY STALIN

O uprzejmościach, jakie Stalin świadczył swoim dostojnym gościom w Teheranie, Chicago Sun drukuje następującą notatkę:

"All of the state dinners were held at the Soviet embassy in the Persian capital, because it had the most spacious dining hall, but the three world figures who met there took turns in acting as host.

Marshall Stalin insisted that President Roosevelt should preside at the opening dinner. The President, in arranging the guests according to protocol, seated Stalin on his right and Prime Minister Winston Churchill on his left, because Stalin has been head of the government of Soviet Russia longer than Churchill has been head of the British government.

The following night it was the Marshal's turn to be host. When the guests entered and seated themselves, the President found to his surprise that he was again seated at the head of the table, with Stalin on his right and Churchill on his left.

Tactfully he reminded talin that as host, the Russian premier should sit at the head of the table. Stalin just shook his head and indicated that he was perfectly satisfied iwth the seating arrangement.

"But this is your banquet and you should have the principal place," F. D. R. protested.

Stalin doesn't speak English, but he conveyed through an interpreter that it was also his house, and that he was making the arrangements."

To miłe obejście towarzyskie pana Stalina, który tak zachwyca wytwornego pana Edena, nie jest tylko wyrazem jego światowego nieokrzesania. Bo w dużych rzeczach, w sprawach decydujących o losach świata, Stalin postępuje tak właśnie jak przy stole.

DOWCIP CHURCHILLA

Jest to podobno fakt autentyczny, że Churchill, żegnając się ze Stalinem w Teheranie i pragnąc znaleźć najwyższy wyraz dla czułości sprzymierzeńczej, zaryzykował taki oto zwrot, który zabrzmiał z cudowną ironją: "God bless you Stalin".

ARTUR SZYK NA USŁUGACH SANACJI

W "Dzienniku dla Wszystkich" wychodzącym w Buffalo takie oto zdumiewające czytamy ogłoszenie:

> Wyłącznie dla Czytelników Dziennika dla Wszystkich komplet obrazów słynnego artysty polskiego Artura Szyka, przedstawiających chlubne dni braterstwa polsko-amerykańskiego.
>
> Szyk, jeden z najzdolniejszych artystów i rysowników polskich, oryginalnie malował te obrazy z polecenia Prezydenta Polski Ignacego Mościckiego, na Międzynarodową Wystawę w Paryżu w 1938 roku. Obrazy potem były wystawione w Polskim Pawilonie na Światowej Wystawie w Nowym Yorku. Po zakończeniu wystawy, Prezydent Mościcki ofiarował je Prezydentowi Rooseveltowi, który dał je wywiesić w Bibliotece Kongresu. Obecnie obrazy te są na wystawie w Muzeum Roosevelta w Hyde Park.

Przeczytawszy to ogłoszenie przecieramy oczy. Przecież Artur Szyk, podkomendny pani Wasilewskiej, socjusz pana Gromyki, współdziałający z Tuwimem i księdzem Orlemańskim, prowadzi tutaj w Ameryce akcję, której podstawą jest pogląd, że Polska była rządzona przez "faszystów", że z tymi "faszystami" należy skończyć, że trzeba w Polsce wprowadzić porządek w guście sowieckim. I naraz okazuje się, że ten sam Artur Szyk przyjmował zamówienia już nie od rządu generała Sikorskiego, który starał się za wszelką cenę o przyjaźń Sowietów, aby wreszcie doczekać się najgorszych obelg i wyzwisk, ale że za czasów rzekomego ucisku "faszystowskiego" i rzekomej rzezi Żydów w Polsce — dzisiejszy bolszewik otrzymywał zamówienia od głowy "faszystowskiego" państwa. I pan Szyk chwali się tem najspokojniej w Buffalo, w nadziei prawdopodobnie, że nikt tego nie przeczyta w Nowym Jorku, albo że przeczytawszy, nie zdziwi się temu, bo już ludzie przestali się czemukolwiek dziwić. Otóż my się dziwimy i notujemy to dla wiadomości tych, którzy jeszcze umieją się dziwić i znają właściwy wyraz dla takich postępków jak przyjmowanie przez pana Szyka zamówień od rządów, które się łży później, skoro zmienia się konjunktura.

SŁOWNIK ERNESTA LILIENA

Sygnalizujemy naszym czytelnikom ukazanie się pierwszego zeszytu wielkiego słownika polsko-angielskiego Edwarda Liliena. Praca p. Liliena, oparta na najobszerniejszych tego rodzaju wydawnictwach polskich, wypełnia dotkliwą lukę w naszej wychodźczej bibljotece. Adres wydawnictwa: 928 Broadway, Buffalo, N. Y.

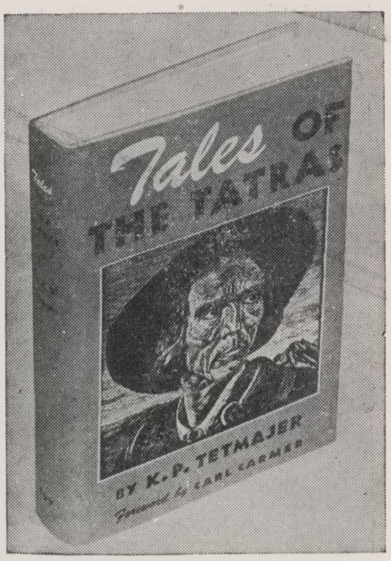
POWIEDZIAŁ, CO WIEDZIAŁ

W piśmie "Świt" zrozumiano niektóre ustępy naszego artykułu p. t. "Ostateczna odpowiedź" jako wyraz "jakiejś wyższości i jednocześnie pretensji, że oto zwykły polski chłop stoi na czele państwa". W artykule naszym powiedzieliśmy jasno i wyraźnie coś wręcz przeciwnego. Daliśmy wyraz zadowoleniu, że w obecnej chwili na czele rządu stoi przedstawiciel chłopów, najliczniejszej warstwy narodu polskiego i stwierdziliśmy, że dlatego właśnie może on szczególnie skutecznie bronić prawdziwej polskiej demokracji przeciw fałszywej demokracji sowieckiej.

Konia z rzędem temu, kto poza redakcją "Świtu" mógłby nas inaczej zrozumieć.

ANDRE MAUROIS ZNÓW W STANACH

Znany pisarz francuski, Andre Maurois, który po zgodzie de Gaulle'a z Giraud zgłosił się do armji francuskiej i udał się do Afryki, wrócił znów do Stanów. Niedyskretni mówią, że wewnętrzne rozgrywki francuskie są tak bezwzględne i ślepe, iż Maurois woli narazie pozostać na emigacji.



Okładka według drzeworytu Skoczylasa do przekładu angielskiego „Na Skalnem Podhalu" (Tales of the Tatras) Tetmajera, który wyszedł w New Yorku nakładem „Roy in exile" i został przyjęty entuzjastycznie przez prasę.

SZTUKA I ŻYCIE

W Londynie wystawiono ostatnio słynną sztukę Roberta E. Sherwooda "There Shall Be No Night", która swojego czasu święciła triumfy na Broadway'u. Główne role grają aktorzy nowojorscy, Alfred Lunt i Lynn Fontanne. Większych zmian nie dokonano w porównaniu z spektaklem na Broadway'u z wyjątkiem... historycznego tła. Akcję sztuki, dziejącej się w Finlandji, napadniętej znienacka przez Rosjan — przeniesiono do ...Grecji, napadniętej przez Niemców. Zmiana "tła" pociągnęła za sobą inne drobne zmiany w charakterystyce napastników.

PRZYCZYNA SPÓŹNIENIA

21-letni Fred ofiarował swoją krew dla rannych żołnierzy. Zbadano go i zakwalifikowano. W pół roku po otrzymaniu ze szpitala kartki, wzywającej go powtórnie do ofiarowania krwi, Fred stawił się u lekarza.

Lekarz był oburzony:

— Spóźnił się pan o pół roku.

Po zabiegu lekarz udobruchał się nieco i zapytał Freda o przyczyny spóźnienia. Zawstydzony młody człowiek usprawiedliwia się:

— Pływam na statku. Byłem storpedowany. Spędziłem 12 dni w łodzi na Atlantyku, potem leżałem w szpitalu na Florydzie przez trzy miesiące. Onegdaj dopiero wróciłem do New Yorku, zastałem kartkę ze szpitala i natychmiast przyszedłem.

Doktor cofnął natychmiast swe zarzuty.

Z KRAJU DICKENSA

Londyn. 1sza w nocy. Alarm. Angielska mgła, egipskie ciemności, niemiecki nalot. Jadącemu samochodem Mr. Seldgrave wydało się, że ktoś przebiega ulicę, więc zatrąbił.

Z ciemności wyłonił się policjant:

— Stop!

— Co się stało?

— Od jak dawna pan prowadzi samochód?

— Od 11-tu lat.

— I pan nie wie, że między 11.30 a 7-mą rano nie wolno trąbić? Budzi pan mieszkańców.

Mr. Seldgrave stracił cierpliwość i krzyknął:

— Czy słyszy pan wycie syren, armaty, huk bomb? Więc to ja spać ludziom nie daję?

Niewzruszony policjant, notując numer samochodu, odparł:

— Niemcy są dzikusami i nie szanują przepisów. Ale to nie powód, by i pan był nie w porządku. Otrzyma pan wkrótce wezwanie do sądu. Dobranoc!

BRAHMS SKROMNY I PEŁEN SMAKU

Wielki Brahms był kiedyś na obiedzie u wiedeńskiego Rotszylda. Przy jakiemś bardzo rzadkiem winie gospodarz nachylił się do ucha wielkiego kompozytora i powiedział:: "To jest Brahms mojej piwnicy". Brahms skosztował i odpowiedział: "Dawaj pan Beethowena".

REDUTA

Kiedyś w Polsce za dobrych czasów były zwyczajem reduty, czyli bale maskowe w Noc Sylwestrową. — Otóż w przeddzień takiej reduty do jednego z urzędników, skromnie zarabiających, zwrócił się jego przyjaciel z zapytaniem czy wybiera się na tę zabawę.

"Widzisz" usłyszał odpowiedź — "To jest dla nas stanowczo za drogie. Bo pomyśl tylko: jest nas troje dorosłych osób w domu. Bilety po 10 złotych, to już 30, dodać trzeba minimalnie jeszcze 20, to już 50. Zamiast tego kupimy sobie za 5 zł. butelkę wódki i daję ci słowo, że po godzinie już nikt nikogo nie pozna".

ZABORCA

Przed pięćdziesięciu laty słynął w Warszawie z dowcipu redaktor "Gazety Polskiej", Edward Leo. Kiedyś na premjerze w teatrze Rozmaitości spotkał znakomitą aktorkę Romanę Popiel-Święcką, która miała na piersi wspaniałego motyla z brylantów. Leo zauważył, że artystka ma go na sobie pierwszy raz i zapytał ją o pochodzenie tego klejnotu.

"To cesarz ofiarował mi go po przedstawieniu w Pomarańczarni".

Na to Leo:

"A to szelma! Na najpiękniejszych naszych dzielnicach łapę położył".



Polskie skrzydła nad Niemcami

PIERWSZE MIEJSCE

Pewna dama w Paryżu skarżyła się ambasadorowi Filipowi Berthelotowi, który uchodził za najdowcipniejszego Francuza swego czasu, że nigdy nie może tak usadzić gości przy stole, aby ktoś się nie obraził. "Sama przecież wiem, jak to robić. Ale na wszelki wypadek zawsze proszę pana de Fouquieres (szef protokółu francuskiego) o rady i mimo to nigdy nie mogę uniknąć jakiejś nieprzyjemności".

Na to Berthelot: "Niech pani sama zawsze dobrze wszystko obmyśli. Niech pani sprawdzi jeszcze z panem de Fouquieres. Ale na wszelki wypadek jedna rada: głupszego zawsze po prawej".

. . . Rosjanie zawdzięczają swój tak zwany instynkt państwowy nie rasie słowiańskiej, nie domieszce krwi obcej... lecz wyłącznie nahajom tatarskim, cezaro-papizmowi bizantyńskiemu i pedantyzmowi niemieckiemu...

Aleksander Brueckner

Z DOWCIPÓW BARTHOU

Kiedy znany pisarz polski, Kaden-Bandrowski, przyjechał do Paryża, podejmowany był przez ambasadora Chłapowskiego śniadaniem, na którem znajdował się też Louis Barthou, naówczas tylko były minister, ale zarazem członek Akademji Francuskiej. Po pewnym czasie okazało się z rozmowy, że obaj pasjonują się do muzyki i wkrótce wynikła między Barthou i Kadenem bardzo ożywiona wymiana zdań na temat Wagnera.

"Czy pan naprawdę uwielbia Wagnera?" zapytał się Barthou.

"Ależ naturalnie" — żywo odpowiedział Kaden.

"No dobrze. Uwielbia go pan. Ale trudno, żeby pan powiedział co innego. Chodzi o to, czy pan naprawdę tak myśli".

"Ależ naturalnie. Pocóż miałbym udawać. Jest to jeden z najdroższych mi kompozytorów".

"Ach tak? Jeden z najdroższych? Więc naprzykład na którem go pan stawia miejscu?"

"Na którem? Zaraz po Bachu i Szopenie".

Na to Barthou, nachylając się nad Kadenem wyszeptał mu do ucha:

"W takim razie mogę panu coś powiedzieć. W "Tristanie" są dłużyzny".

MAŁY URBANOWICZ

Wielkiemu asowi naszego lotnictwa, majorowi Urbanowiczowi, który pełni obecnie odpowiedzialną służbę w Czunkingu, urodził się w Waszyngtonie synek. Depesza teściowej majora Urbanowicza, zawiadamiająca go o tem wydarzeniu nie doszła do Czunkingu. Szczęśliwy ojciec otrzymał tylko depeszę Ambasadora Ciechanowskiego, obwieszczającą mu urodzenie dziecka bez podania płci. Major Urbanowicz nie wiedząc czy to "syn czy córka", zaczął alarmować Waszyngton wszelkimi sposobami i pewnego poranku Ambasada otrzymała telefon waszyngtońskiego korespondenta "London Chronicle", który otrzymał od swej redakcji polecenie zdobycia cennej informacji, na skutek interwencji korespondenta czunkińskiego, przyjaciela majora Urbanowicza. Rzecz stała się wielką sensacją między Czunkingiem, Londynem i Waszyngtonem jak o tem świadczy poniższy artykulik i fotografja pomieszczona w waszyngtońskim "Times-Herald" z 13 stycznia. Reprodukujemy ją na dowód miłej popularności naszego świetnego lotnika.

Major Witold Urbanowicz, through the combined efforts of three newspapermen — in Chungking, London and Washington — at last knows his first-born child is a boy — something he has been worrying about since late December when he was told he was a father.

Now flying with the Fourteenth Air Force in China the Major was attached to the Polish Embassy here until September 1943, when he went to Chungking. He had been married in March and on Christmas Day his wife, Mrs. Jadwiga Urbanowicz, gave birth to a 5-pound boy, at Walter Reed Hospital.

Cables from the Polish Embassy apparently failed to reach the father. But a cable of congratulations, simply stating a baby had been born, did.

Revealing his anxiety about the more intimate details of his paternity to Steuart Gelder, Chungking correspondent for the London Chroncle, he was told "we'll get the news."

Then on Tuesday, a cable to the Chronicles foreign editor in London. From London the query was relayed to Robert Waithman, correspondent here.

A call to the Urbanowicz home in the 1300 block Concord Ave., NW., soon supplied information for a return cable to London yesteradу. — Then to Chungking and the anxious father went the news that Witold Kazimierz Urbanowicz, was firmly established as a male addition to the household.



Mały Urbanowicz, syn świetnego polskiego asa lotniczego, majora Witolda Urbanowicza, na rękach swej matki.

Usłyszycie o posłannictwach, o apostołach, o prawach narodowych i społecznych... Ale wkrótce ujrzycie sami jak łotrostwo łotrostwu wydziera łupy, zdobyte potem i krwią bezimiennych nędzarzy, jak zgnilizna oszukuje zgniliznę, byleby jak najdłużej trwać... Musi pracownik odrzucić sprawiedliwy kilof i uczciwy młot, odpasać najdostojniejszą szatę: fartuch skórzany. Musi jeszcze wdziać żelazne rękawice i zbroję okrucieństwa. Trzeba jeszcze mieczem bezlitosnym ścinać, rzucać w jamy mogił kanalję, wyrosłą ze zwyrodnienia ludzkiego rodzaju. Trzeba jeszcze z ramienia rąbać łupiestwo i uprzywilejowany gwałt.

Stefan Żeromski (Róża)

Na Litwę przychodzą z głębi Rossyi kompanje cieśli i kopaczy, które się najmują do robót. Chłop moskiewski nie śpiewa zwykle ale zdarza się, że po skończonej pracy, rozciągnięty na ziemi, zawodzi śpiew niby tkliwy a przeciągły. Tej czułości boją się włościanie litewscy, i kiedy pieśń taką posłyszą, ludzie doświadczeni każą gospodarzom czuwać ostrożnie. Bo Moskal, mówią oni, nie roztkliwia się bez celu; pewno mu po głowie snują się jakiś plany na nocną wyprawę.

Walerjan Kalinka (1858)

POLISH WEEKLY
Editorial Office:
806 Lexington Avenue
New York City, 21
Tel. REgent 7-4168

Publishers:
Association of Writers from Poland

Editors:
ZENON KOSIDOWSKI
JAN LECHOŃ
JERZY TEPA
KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly—$3.50 Yearly—$7.00